

derko podnosi się z podłogi, trzymając w zębach dwa „zgubione” papierosy. Machnął ręką i wyszedł.

VI

W domu przesłuchał automatyczną sekretarkę. Z wydawnictwa nikt nie dzwonił – już od kilku dni była cisza. Zelen nawet tę ciszę był skłonny interpretować jako złowróżbną. Ale za to zadzwonił do niego niejaki Jerzy Groszycki, który przedstawił się jako asystent znanego reżysera filmowego, Edwarda Kent-Rozwalskiego. Adam nie znał go. Przypomniał, iż producent powrócił do zarzuconej idei zekranizowania jego książki *Dzikie gołębie*. Zdjęcia chcą rozpocząć jak najszybciej, już w najbliższych dniach. W związku z tym zapraszają go na plan w okolice Myszyńca na Kurpiach. Krótko i lakonicznie. „Ciekawe, czy wykorzystają stary scenariusz?” Poczul, jak adrenalina sączy mu się do krwi: to przecież ten sukces, który mu się marzył ostatnio i który tak bardzo był mu potrzebny, że gotów był zabić. Na razie więc, niejako zastępczo, zabił zabłąkaną muchę, która bzyczała mu nieznośnie nad uchem. Reżyser dodał, że czas nagli. Cokolwiek się pod tym kryło, czuł, że znowu wraca do gry. Dlaczego czas naglił – tego już nie powiedział. Ale on dowie się. Postanowił zadzwonić do Jaromira, niech sprawdzi wszystko pod kątem prawnym i ewentualnie wynegocjuje nowe, jak najlepsze warunki. Pewnie będą się trzymać starej umowy, a to przecież już parę lat minęło od jej podpisania. Chyba będą konieczne zmiany: jakiś aneks do tamtej umowy albo może całkiem nowa? Właściwie to wystarczy dać mu cynk; ma już pełnomocnictwa, niech negocjuje. Już Jarek będzie wiedział, jak się do tego zabrać.

„Dobra nasza! Teraz trzeba namówić Olimpię na wspólny wypad na te Mazury! Byłoby jak dawniej. . .”

Kiedy przeszedł z aparatu partyjnego do tzw. pracy twórczej – niedługo po debiucie książkowym – była to druga połowa gierkowskiej dekady. Jego *Matka głupców* ukazała się wiosną 1976 roku, a już w czerwcu rozpoczął pracę jako publicysta w miesięczniku *Tworzywo*. I powoli awansował.

Potem była kolejna książka – *Wiklina*, która ukazała się półtora

roku później. I tak to szło. . . Kolejne książki wydawał mniej więcej co dwa lata. W tamtych czasach to był ogromny sukces i szybki druk. Adam po prostu szedł jak burza. Bardzo ważni ludzie z KC wpadali czasem na obiad do Snobrydzkich i łaskawie gratulowali mu sukcesów. Przy postronnych świadkach, lubiących plotkować. Bo to był magiel – magiel na szczeblu. Adam wiedział, co o tym myśleć, ale wołał milczeć. Znał tę dewizę: „Tisze jedziesz – dalsze budziesz”. Szybko nauczył się trzymać język za zębami, czyli mówić tylko to, co nie groziło dalszym ciągiem w postaci plotek, słowem: lawirować.

Tzw. warszawka widziała, że Zeleń jest mocno ustawiony, patrzyła więc na niego z respektem. W końcu doczekał nagrody ministra i paru orderów. I coraz liczniejszych wywiadów w telewizji.

Był to dla niego czas wyjątkowo pracowity. . . Właściwie na nic nie miał czasu, a zwłaszcza na przyjemności. Jego zmysły były uspijone, lub może raczej zajęte bez reszty przez młodą i atrakcyjną żonę. Zwykle rozglądałby się za kobietami jak głodny wilk za owcami. Ale i żona mu się przejadła, zwłaszcza że przy dziecku zrobiła się zrzędliva. Bywali jednak na imprezach i spędach towarzyskich, zaliczali wszelkie nowinki kulturalne, rauty i festyny. Toteż Adam szybko zauważył, że wokół pełno jest atrakcyjnych i ponętnych kobiet; wiele z nich oglądało się za nim i pewnie nie miałyby nic przeciwko jakiejś przygodzie. On jednak, póki co, nie dopuszczał żadnych myśli o zdradzie żony; kosztowałyby go to za dużo. W tym środowisku żaden romans na dłuższą metę ukryć się nie dał. Ale z wiosną budził się w nim zawsze tygrys, „który lubi świeże mięso”. Nawet, jak sam żartował, z taniej jatk.

Sam już dobrze nie pamięta, ale było to na pewno po debiucie książkowym, na jakimś spotkaniu autorskim. Ada wróciła wcześniej do domu, bo teściowa miała tego dnia migrenę, a opiekunka do dziecka musiała akurat wyjechać na pogrzeb w rodzinie, Adam więc prawie sam (trochę pomagali w tym wydawca i jego asystent) pełnił tak zwane honory. Pod koniec wieczoru wszyscy już mieli w czubie; część się wymknęła, ale sporo osób jeszcze oblegało autora *Matki głupców*. Od autografów rozboleła go dłoń.

Oczywiście, nie brakowało też kobiet, zwłaszcza tych ze światka

artystycznego, osób znanych mniej czy bardziej z ekranu, zwłaszcza srebrnego. Tych mniej znanych było więcej. Chciały zapewne trochę, jak to się mówi, ogrzać się przy ogniu cudzego powodzenia, a przy okazji nawiązać wpływowe kontakty – po prostu popchnąć karierę do przodu. Niektóre były bezkompromisowe. . .

Ktoś – chyba wydawca – przedstawił mu wówczas jedną z takich młodych adeptek sztuki aktorskiej. Artystka miała już na swym koncie kilka ról, głównie tzw. odważnych – rozbieranych. Trzeba przyznać, miała ładne ciało i ten atut skwapliwie wykorzystywała. Nie tylko ona, również i reżyserzy. Adam przekonał się o tym naocznie i namacalnie jeszcze tego wieczoru, a ściślej: tej nocy. Kobieta wprost przykleiła się do niego; gdzie nie spojrzął, widział aktoreczkę, jej promienny uśmiech, czy wręcz śmiech na zawołanie, co by nie powiedział, było dla niej dowcipne, godne podziwu, adoracji itd. Zeleń czuł, jak wzbiera w nim żądza, i po cichu kombinował, gdzie by tu przycupnąć z nią na noc.

Irena Osiejczuk (tak się nazywała) szybko ten problem rozwiązała sama. Z początku uważał ją za naiwną i głupiutką gąskę, ale szybko zmienił zdanie. . . Najpierw mówiła do niego per „mistrzu”, potem „panie Adamie”, „drogi Adamie” i ani się spostrzegł, kiedy został „kochanym Adasiem”! Coraz mniej myślał o tym, co powie żonie nazajutrz.

To była jego pierwsza zdrada małżeńska. Artystka najpierw udała zawianą. Nikt jakoś nie chciał się nią zająć, widząc, że zagięła parol na pisarza, który zresztą sprawiał wrażenie oczarowanego nią. Była to więc widoczna skłonność wzajemna. A poza tym nikt nie chciał się narażać tak wpływowej osobie, jak Zeleń.

Dyrektor wydawnictwa był nie tylko wytrawnym menedżerem, ale i cwany wyjadaczem, zaproponował więc zmianę lokalu. Ktoś wezwał taksówkę. Młody pisarz zdążył jeszcze zadzwonić do żony i uprzedzić, że zabawa się przedłuży.

W taksówce Irena zaczęła kaprysić, że chce do domu i przytulając się do Adama, poprosiła, aby ją tam czym prędzej odwiózł, bo „Ircia chce spać”. Scenę śpiącej laleczki odegrała wspaniale; towarzyszący im dyrektor i redaktor z wydawnictwa dali się nabrać, Zeleń zresztą także. Na najbliższym postoju przesiedli się do innej

taksówki; uśmiechnęli się do niego porozumiewawczo, ze współczuciem, że chyba nici będą z tej upojnej nocki, bo artystka nagle usnęła na jego ramieniu. . . Ledwie jednak odjechali, Ircia obudziła się – tak nagle, jak zasnęła. Właściwie należałoby napisać te czasowniki – zasnęła i obudziła – w cudzysłowie: był to element jej gry aktorskiej. Zachichotała, udając czkawkę:

– Czy te... ep!... dwa stare... repy... już sobie poszły? – zapytała, mając zapewne na myśli dyrektora i jego asystenta.

– Tak, pojechali – odparł Zeleń z niejakim zadowoleniem, bo już się martwił, że jego poświęcenie będzie daremne.

– No to zmieniamy kurs – powiedziała całkiem trzeźwym głosem. – Do „Variete” proszę! – rzuciła do kierowcy zdecydowanym tonem.

Wysiedli z taksówki przed schodami teatru. Zeleń, nolens volens, zapłacił za ten nocny kurs sownie: – Reszty nie trzeba.

Podziękowania taksówkarza trochę go znieczepiły, jak również jego obleśny uśmiezek i perskie oko, ale udał, że nic nie zauważył. Z taksówkarzami warszawskimi lepiej nie zadzierać, tę prawdę przyswoił sobie już dawno.

– Dobranoc panu – rzucił sucho.

Pod drzwiami Irena zatrzymała się i nie wiedzieć czemu, zaczęła poprawiać fryzurę.

– Muszę jakoś wyglądać przed portierem – usprawiedliwiała się. Adamowi cisnęła się na usta jakaś złośliwa uwaga, ale się powstrzymał; zamiast tego zapytał:

– A właściwie to po co przyjechaliśmy do teatru? W nocy chyba próby nie ma? A może odbywa się tu jakiś maraton nocny, co?

– Próby nie ma, ale czeka cię próba sił – zachichotała zmysłowo. – Bo też to będzie prawdziwy maraton, Adasiu. – I puściła do niego oko.

Zeleń odprężył się. A jednak! Był blisko celu i nie zamierzał, cokolwiek by się działo, rezygnować.

Irena zadzwoniła do drzwi. Otworzył im starszy pan o wyglądzie dobrego wojaka Szwejka.

– Dobry wieczór, panie Onufry – zaszczębiotała radośnie. Ten uśmiechnął się na jej widok szeroko:

– A, toż to pani Irenia nasza kochana. – Starszy pan zaciągał po kresowemu. – Proszę, proszę, pan dyrektor niedawno odjechał i prosił, coby nie robić trudności pani. Ale kto by tam zechciał robić trudności jakoweś, nieprawdaż, że tak powiem, naszej pani Irence. To kluczyk od garderoby, proszę. Aa – rozpromienił się na widok Adama – to i gościa pani ma. Witamy w naszych teatralnych progach. A herbatkę i cukier pani ma? – zaniepokoił się nagle.

– Mam, panie Onufry, mam wszystko, co trzeba. – Tu spojrzała Adamowi wymownie w oczy. Zelen zachował spokój na zewnątrz, choć w środku już w nim kipiało. Namiętność i obawa walczyły w nim o prymat. „A to mała zielona, myślał, w co ona mnie wciągnęła!? Ten stary gaduła gotów jeszcze naplotkować na prawo i lewo, że pani Irena puszcza się w garderobie z jakimś fagasem. A nie daj Bóg, żeby go jeszcze zapamiętał i kiedyś rozpoznał”.

Pod drzwiami garderoby, gdzie dotarli po stromych jak w latarni morskiej schodach, Adam nie wytrzymał:

– Ircia, w co ty grasz? – Nie musiał jej zadawać dodatkowych pytań, to była inteligentna bestia.

– Nie obawiaj się, pan Onufry to swój człowiek – to prawdziwy człowiek teatru. Dyskretny, potrafi milczeć jak kamień – powiedziała obrzucając go nieco filuternym, acz obiecującym spojrzeniem. („E, tam, kamienie też czasem potrafią gadać”, pomyślał sentencjonalnie Adam). – Z teatrem związany jest od półwiecza. Już przed wojną pracował jako statysta – zdaje się halabardnik – we lwowskim teatrze. Można na nim polegać. Nie bój się, żona się nie dowie – dodała z lekką kpina.

Weszli do dosyć obszernego pomieszczenia: łazienka, kuchenka, lustro-toaletka, liczne przybory toaletowe, jakiś kostium na wieszaku, otwarta szafa z ciuchami... Jak to w garderobie. Za przepięrzeniem stała kanapa z byle jak rzuconą pościelą, która wyglądała, jakby ją ktoś przed chwilą opuścił. „Ładne rzeczy – pomyślał – pewnie dyrektorek sobie tu od czasu do czasu testuje świeże siły przed wypuszczeniem na scenę!”

– To nie jest tak, jak myślisz – rzekła Irka z powagą w głosie, jakby wiedziała, o czym pomyślał sobie. – To ja nabałaganiałam. Dzięki uprzejmości dyrektora sypiam tu po próbach i premierach.

Do domu mam za daleko. Mieszkam w Konstancinie, o tej porze nie ma tam czym dojechać. Na taksówki mnie nie stać na razie, nie dorobiłam się jeszcze – wyjaśniała, zmywając z twarzy makijaż. Potem rozpięła zakieciak. – Muszę się umyć, spocona jestem po tym bankiecie i jeździe taksówką – rzuciła mu na pół melancholijne, na pół filuterne spojrzenie i skryła się za kotarą. – Tobie radziłabym to samo. A jak chcesz drinka, to zajrzyj do szafki pod lustrem.

Adam zajrzał i nalał sobie solidną porcję winiaku; wypił ją jednym haustem. Chciał już nalać drugą, ale przypomniał sobie powiedzonko: „Pij, pij, a nie będziesz mógł!”. Westchnął, otarł usta i odsłonił zasłonkę.

Irena, rozebrana jak do rosolu, kończyła ablucję. Piersi miała gołe i piękne – jak na ekranie, w znanym wszystkim filmie. Spojrzała na niego bez odrobiny wstydu – jakby była na planie filmowym, z miną kobiety świadomej, na co się decyduje. Jakby się znali od lat. Gwałtownie przyciągnął ją do siebie. Wezbrała w nim żądza: zapragnął powtórzyć znaną scenę z filmu *Ostatnie tango w Paryżu*. Nie był wprawdzie Marlonem Brando, ale na pewno był odeń przystojniejszy. I młodszy. Całowali się chwilę. Irena oparta o ścianę garderoby, obejmowała go w pasie i za szyję; on zapuszczał rękę w jej koronkowe majtki. Wymacał jej ciepły wzgórek łonowy porośnięty aksamitnym w dotyku futerkiem. Nagle odsunęła się od niego, jakby chciała złapać głębszy oddech.

– Chwileczkę – szepnęła. Chwyciła go za krawat i pociągnęła do łóżka. Po drodze rozwiązywała mu krawat, rozpiniała koszulę i pasek od spodni, patrząc jednocześnie w jego oczy, jakby pragnęła przez nie wnikać do jego głowy – przejrzeć jego myśli... Jej zmysłowe wargi odsłaniały w półuśmiechu piękne białe zęby i czerwony, ruchliwy i zwinny jak żmija język. Ten język zawczasu obiecywał nieznanemu mu dotąd rozkosze. Uśmiechała się drapieźnie, jak przyczajona pirania. Zmysły Adama były dość już podrasowane, jak silnik syrenki udającej mercedesa. Rzucił ją na łóżko, chciał przycisnąć całym sobą, bo bliski był spełnienia i tracił panowanie nad sytuacją, ale ona jak prawdziwa żmija umknęła mu na bok i syknęła:

– Niedobry chłopcze – a dokąd to się tak śpieszysz? – rzuciła, zaciskając dłoń na jego klejnotach.

To go otrzeźwiło i utemperowało podniecenie. „Oto – pomyślał – trafiło mi się jak ślepej kurze złote ziarno!” Już wiedział, że wystarczy poddać się jej rękom, tak jak dobry sternik powierza fali swój okręt, wyczuwając instynktownie przechyły i rodzaj sztormu. Ten sztorm miał być nie tyle silny, co wyrafinowany.

Minęły lata. Zeleń, przypominając sobie tę noc, zawsze stwierdzał z cynicznym podziwem, że dziewczyna miała prawdziwy talent, nie tylko sceniczny, może nawet mniej sceniczny, za to bardziej o b s c e n i c z n y. Wtedy był uczestnikiem przygody łózkowej, jakiej wcześniej nie doświadczył. Jego dotychczasowe partnerki zwykle pozwalały robić ze sobą, co chciał, albo uczyły się od niego ars amandi. Nawet Ada, choć miała prawdziwy kobiecy instynkt, nie umywała się do Ireny.

Aktorka potraktowała to ich intymne tête à tête jako okazję do zaprezentowania swego kunsztu. Jak w teatrze jednego widza: tyle że Adam był widzem i statystą po trosze... Ale to ona odgrywała główną rolę w tym „spektaklu”. Jakby przeczuwała, że dzięki tej nocy zapracuje na kontrakt – trafi się jej rola – właśnie w sztuce Adama... Jej dłonie pieściły jego brzuch, a ruchliwy język dwoił się i troił. Dziewczyna była niespożyta i pełna energii, ale zarazem systematyczna: była jak dobrze zaprogramowana maszyna, tyle że ze świadomością celu. A cel był prosty: aby oboje osiągnęli orgazm jednocześnie, co też się udawało jej za każdym razem. Adam był lekko oszołomiony i zdążył już całkiem wytrzeźwieć, ale nie mógł wyjść ze zdumienia i podziwu. Z żoną szczytował dwa, najwyżej trzy razy jednej nocy, a tu mimo tej ilości alkoholu, już czwarty czy piąty raz!...

Irena uprawiała swoją cyrkową woltyżerkę niemalże z doskoku, wierząc się w siodle i podskakując jak fryga. Jej ciało lewitowało: ani razu nie udało mu się przycisnąć dziewczyny i odbyć z nią klasycznego stosunku – „po bożemu” – to ona zawsze była górą. Gdy w końcu się zmęczyła (Adam na to liczył po cichu, bo i on miał dość, choć nie był stroną zbyt aktywną, a poza tym chciało mu się też zapalić), padła na niego i wpiła się w usta, całując go zachłan-

nie, jakby nie miała dosyć. Zaczął znowu odczuwać podniecenie, licząc na kolejny akt w tej sztuce, ale kolejnego aktu nie było: Irena nagle odsunęła się od niego i sturlała się na drugą stronę kanapy. Klapiąc bosymi stopami znikła za kotarą.

Zeleń podniósł się, spojrzął na zegar ścienny: była godzina druga trzydzieści. „O nie – pomyślał – pora do domu – dosyć tych figli!” Zapalił papierosa i zaczął się ubierać. Irena zastała go już ubranego. Nawet się nie zdziwiła.

– Wychodzisz? – raczej stwierdziła niż zapytała. – To dobrze, bo Ircia chce spać, wiesz? – i przekrzywiła zabawnie głowę.

– Tak, muszę już iść. Rano powinienem być w redakcji. I w ogóle, wiesz. . .

– O, tak, oczywiście! . . . „I w ogóle, i w szczególności, i pod każdym innym względem” – zaśpiewała. – Ale nie musisz, możesz się przespacerować tutaj, zmieścimy się przecież – roześmiała się cicho, mrużąc swoje wielkie i lśniące jak bursztyny oczy.

– Dzięki, jesteś bardzo miła, ale dzisiaj nie skorzystam. Przecież musisz się wyspać – zaakcentował z przekąsem. – A poza tym byłaś wspaniała. – Rzucił ten tani komplement jak zdawkową monetę i wnet się zawstydził bijącej zeń trywialności. Ale jego rezerwy, zarówno fizyczne, jak intelektualne, tej nocy zostały mocno nadwątlone, nawet może wyczerpane.

– O, ty także – odbiła piłeczkę i odprowadziła go do jakichś drzwi – innych niż te, którymi weszli. – Wyjdiesz tędy na boczną ulicę. Kawałek dalej jest postój taksówek – poinstruowała go z uśmiechem. – To jak, zobaczymy się jeszcze, Adasiu? – stwierdziła raczej niż zapytała. I pocałowała go, ale nie w usta, jak tego oczekiwał i nawet je podstawił, tylko w szyję, za uchem.

– Jasne, przecież wiem, gdzie cię szukać. – Zeleń myślał już, co powie żonie, gdy wróci do domu nad ranem. Miał nadzieję, że nie czeka na niego, tylko dawno już śpi. . . Pomachał Irenie i rażno pomaszzerował we wskazanym kierunku. A w domu wziął przede wszystkim solidną kąpiel – chciał zmyć z siebie wszelkie obce zapachy i miazmaty. . .

To wszystko przypomniało mu się właśnie teraz. . . Nie wiadomo dlaczego. . . Być może w związku z Olimpią, której młodość

i świeżość uprzytomniła mu nieubłagany upływ czasu. Z jednej strony zaborcza i starzejąca się żona, której jednak wiele zawdzięczał i... ciągle jeszcze pamiętał tamtą dziewczynę znad Balatonu, a z drugiej pełna wdzięku młoda kobieta o aspiracjach intelektualnych, choć te ostatnie, szczerze mówiąc, najmniej go obchodziły, ale były znakomitą przykrywką dla wszelkich poczynań, ułatwiających sfinalizowanie w łóżku obiecującej przygody.

Była w tym spora doza cynizmu, ale ten towarzyszył mu już od dawna, od niepamiętnych czasów. Może też dzięki tej – nazwijmy to tak nieco eufemistycznie – kompromisowej postawie, udało mu się zejść tak wysoko?... Jak to napisał autor wspomnień nadesłanych na konkurs: „Szczurowatość legitymizowała wszystkie jego poczynania...”. Tak, ta dewiza pasowała również do Zelenia-człowieka. Zelen-pisarz wiedział o tym, ale odpychał tę prawdę od siebie. Bo niby dlaczego miałby z tego powodu strzelać sobie w łeb?... Był jaki był, dotarł tam, gdzie dotarł – właśnie dzięki szczurzemu uporowi. Czytając ten pamiętnik, czuł się po części tak, jakby zaglądał sobie w oczy; resztki sumienia szeptały mu: „Ty szczurze!” Ale pamiętał także dziadkowe rady, które jak dewiza towarzyszyły mu całe dotychczasowe życie: „Pamiętaj, nic za darmo! A jak co darmo dają, to prędzej czy później trzeba będzie za to zapłacić, czasem wysoką cenę”. Wtedy jeszcze nie rozumiał, co to znaczy „płacić wysoką cenę”. Ale zapamiętał te słowa, jak wiele innych rad starszego Zelenia, który niejedno przeżył i niejedno widział.

Wstrząsnął się lekko: samooskarżanie się o jakieś wyimaginowane grzechy nie ma sensu. Bo że są to „grzechy wyimaginowane”, tego był prawie pewny. Nawet na łożu śmierci nie byłby w stanie potępiać się za przeszłe postęпки. Po prostu wykorzystał istniejące możliwości. Los dał mu taką szansę, a on, Adam Janusz Zelen, prowincjusz pochodzący z mazowieckiego zadupia, wykorzystał ją przytomnie. Dzięki temu nie podzielił losu wielu swych rówieśników z podobnych wsi. Oni wszyscy – prawie wszyscy – powrócili na wieś... Zawdzięczał to komunie, dziś będącej w pogardzie. Wiedział, co komu zawdzięcza, ale też wiedział, że „nic dwa razy się nie zdarza”. Nie bronił więc opluwanej przez wielu nieboszczki komuny.

Prości ludzie na wsi mawiają: „Na pochyłe drzewo wszystkie kozy skaczą”, ale też mawiają: „Skoro wlałeś między wrony, musisz krakać jak i one”. A przecież dewizą Adama było nie chadzać pod prąd, nie narażać się zbytnio innym (tak radził dziadek). Nigdy nie udałooby mu się usposobić dobrze do siebie towarzysza Snobrydzkiego, gdyby nie elastyczność i wyważone poglądy, co odebrało mu argumenty i złamało jego opór. Wykalkulował sobie: przyszłość jest przystojny, zdolny, z klasy społecznie akceptowalnej, wykształcony, wstydu mi zatem nie przyniesie, a ukochana jedynaczka może usatysfakcjonuje się wreszcie!... Co też się stało.

Z rozmyślań wyrwała go Ada. Miała zwyczaj wchodzenia do jego gabinetu jak do sypialni: trochę bezceremonialnie, i z miejsca zaczynała rozmowę, prawie monolog. Dużo też miała do opowiedzenia. Z matką nie pogadałaby, gdyż ta po paru minutach rozmowy wracała do swego ulubionego konika: wspominków o ojcu: „Gdyby ojciec żył...” oraz do wyliczania prawdziwych bądź urojonych schorzeń, a potem wybuchała płaczem, mówiąc, że już nikomu stara matka nie jest potrzebna i pora umierać. Zrozumiała więc, że nie była to partnerka do rozmów dla Ady. A mąż... tak, Adam był tym, do którego ciągle lgnęła, co jako się rzekło, nie zawsze go cieszyło, czasem irytowało. Ale tym razem Zelen był w pogodnym nastroju; jak wiemy, miał powód, żeby się cieszyć. I dlatego wtargnięcie Ady nie zirytowało go tym razem.

– A, to ty, kochanie! Wejdz, proszę – rzucił przez ramię wesoło.

– Adaśku-smutaśku, co sły... – zawołała, jak to miała w zwyczaju, ale spostrzegła, że małżonek jest w dosyć pogodnym nastroju; dawno go takim nie widziała... Urwała wpół słowa, zdziwiona, że nie przerwał jej opryskliwym machnięciem ręki. Adam cmoknął ją w policzek.

– O, mój pan coś pił! – powiedziała, zabawnie marszcząc nos.

– Odrobinę, o, ty ci – pokazał jej palcami, jak to mało wypił.

– A fe, kłamczuszkule!... Czuję wyraźnie, że jedzie od ciebie jak z gorzelnii – zażartowała. – A z jakiej to okazji mój pan tak świętuje? Czy nie za wcześnie? Bankiet dopiero pojutrze...

Zelen trochę minął się z prawdą, mówiąc Puzderce, że idzie dziś na bankiet; chciał po prostu już wyjść. Prawdę powiedziawszy,

ten bankiet go coraz mniej rajcował i przemyślał, jakby tu się zeń wykręcić. Ta afera z płatną protekcją odstręczała go. Bankiet zresztą i tak odwołano z powodu choroby prezesa zarządu! . . .

– Tak, ale widzisz, spotkała mnie dziś wielka przyjemność.

– I dlatego tak się ululałeś? – roześmiała się żona. – A cóż to za przyjemność, Adaśku, podziel się ze mną.

– Posłuchaj sama – powiedział i włączył jej sekretarkę.

Ada posłuchała. I aż gwizdnęła.

– Nareszcie – rzuciła. – Ile to czekałeś? Chyba ze trzy lata?

– Właśnie. Teraz rozumiesz, że był powód do świętowania.

Przemilczał to, że napił się, zanim odsłuchiwał tę wiadomość. I że powodem jego dobrego nastroju była Olimpia Kowalewicz pospołu z panem Puzderko. Ostatnia wiadomość była jakby potwierdzeniem, że kończy się zła passa w jego życiu. Nawet pan Jonasz nie przyniósł mu dziś pecha, co chyba dowodzi, że wiara w gusła i zabobony więcej szkodzi tym, co w nie wierzą, niż nie wierzącym w nie. Wspomnienie pana Jonasza przywołało sprawę tajemniczego rulonika z zapiskami „duplomaty” .

– Aha, słuchaj Adzieńko – konsekwentnie starał się być dziś miły dla żony, zwłaszcza że chciał ją dobrze usposobić do „małej robotki” przy rękopisie Puzderki – mam do ciebie prośbę. . .

– Powiedz mi, jaką – wielką czy małą? – wpadła mu w słowa cytatem z Broniewskiego.

– O, tycią – powtórzył gest obrazujący małą ilość czegoś tam. – Nic wielkiego, ot, głupstwo wierutne. – Adam powiedział to naśladując akcent charakterystyczny dla Jonasza Puzderki. – Otóż pewien znajomy dał mi ten rękopis – podał jej Bolusiowy rulonik. – Prosił, żeby go przejrzeć. Zrobisz to, kochanie? – zapytał to nie bez wystudiowanej czułości, wiedział, jak Ada jest wrażliwa na niuanse słowne, intonację, gesty. – Będę ci baaardzo wdzięczny!

– Jak wdzięczny? Pokaż.

– O, tak. – I cmoknął ją w policzek.

– E, do chrzanu z taką wdzięcznością – zaśmiała się.

– No, dobrze, kochanie, postaram się to naprawić, ale później, co? – wymruczał przepaszająco. – Teraz coś bym zjadł i wykąpał się. Sam czuję, że śmierdę.

– E, tam, śmierdzisz, ale fajkami! OK – kąp się, ale dotrzymaj słowa. – Ada chwyciła rulonik. – W tej chwili nie mam czasu, bo mam pilne tłumaczenie – na wczoraj, rozumiesz? Ale może jutro to przejrzę. . .

I już jej nie było. Została po niej tylko smuga drogich perfum. Był to jednak zapach przyjemny, przywodził mu na myśl chwile z młodości, kiedy on i Ada jeszcze się naprawdę kochali. . . To znaczy: on ją kochał naprawdę. Potem było różnie. Brzmi to jak eufemizm, ale pisarz nigdy nie był pewny swoich uczuć do żony. Raz ten ogień palił się mocno, innym razem ledwie się tlił. Wiedział jednak, że trzeba podsycać ten wąty płomień, nie lekcewał też jej uczuć wobec siebie. Pozostał mu ten nawyk z czasów, gdy walczył o względy wpływowego teścia.

Te perfumy. . . Przywiodły mu na myśl Olimpię – zarys jej dekoltu i krągłe białe ramię. Poczul znajomy dreszcz. Na nic dziś praca przy komputerze – po prostu go odrzucało. Znalazł w lodówce jakiś serek pleśniowy; zjadł, popił sokiem grejpfrutowym i zadzwonił do mecenasa Rybki. Nie było go w domu ani w biurze: czyżby pojechał na ryby? Zostawił mu wiadomość na sekretarce ze zleceniem: „Działaj szybko”. Potem wszedł pod prysznic. Zmysły miał podrażnione, ale taktycznie nie pobiegł do żony. Pewno jeszcze pracowała nad tym tłumaczeniem. Była dwudziesta trzydzieści. Za wcześnie. Włączył telewizor. Jak zwykle, wiadomości były pełne wojny w Iraku. Ciągłe też odbijała się czkawką afera z płatną protekcją. Od czasu, gdy znany dziennikarz – były opozycjonista, zdecydował się jednak ujawnić to nagranie, sprawa zaczęła blaknąć, ale komisja śledcza swoje osiągnęła. Finał wydawał się być oczywisty: proces i więzienie dla znanego producenta. „A, co mnie do tego!” Podświadomie czuł, że lepiej byłoby uniknąć tego bankietu, to może być nie najlepszy moment. Polityka: trochę jej było za dużo ostatnio – znał przyjemniejsze zajęcia. Miał własne problemy, a jeden szczególnie: książka, której pisanie szło mu wyjątkowo ślamazarnie.

Zajrzał ponownie do notatek i wyłączył komputer ze wstętem. „Idę spać – zdecydował – wstanę o szóstej, ze świeżą głową, może co napiszę? – łudził się. – Ciekawe, co robi Ada?”, pomyślał leniwie.